

JEST WSZYSTKIM, CZEGO
ONA POWINNA UNIKAĆ.
ALE NIE POTRAFI.

BETHANY-KRIS

PIERWSZY TOM NOWEJ SERII MAFIINEJ
FILTHY MARCELLOS #1

LUCIAN



Tytuł oryginału

Lucian

Copyright © 2016 by Bethany-Kris

All rights reserved

Copyright © for Polish edition

Wydawnictwo NieZwykłe

Oświęcim 2020

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:

Magdalena Lisiecka

Korekta:

Kamila Reclaw

Katarzyna Olchoway

Redakcja techniczna:

Mateusz Bartel

Projekt okładki:

Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Dystrybucja: ATENEUM www.ateneum.net.pl

Numer ISBN: 978-83-8178-370-5

BETHANY-KRIS

LUCIAN

FILTHY MARCELLOS #1

TŁUMACZENIE

MALWINA STOPYRA

OŚWIĘCIM 2020

„To życie jest nasze i jest wspaniałe. Jeśli możesz przejść przez nie tak po prostu i ujdzie ci to na sucho, hej, to świetnie. Ale życie jest bardzo, bardzo nieprzewidywalne. Istnieje wiele sposobów, żeby wszystko schrzanić”.

Paul „Wielki Paulie” Castellano
Były boss rodziny Cosa Nostra Gambino

Dedykacja

Dla moich trzech chłopców. Kocham Was. Zawsze.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Przykucając nisko, ośmioletni Luciano Grovatti miał nadzieję, że nikt, kto akurat przechodził ciemną uliczką, nie zauważy jego małej postaci, odpoczywającej przy śmietniku obok restauracji. Ulica i chodnik były tego dnia bardzo zatłoczone, ale zdecydował się zaryzykować. To najlepsze miejsce, by znaleźć jedzenie, nawet jeśli niebezpieczne. Niejednokrotnie słyszał krzyki dochodzące z wnętrza lokalu. Zawsze upewniał się, by zwać jak najszybciej, gdy taka sytuacja miała miejsce.

Alejka okropnie śmierdziała, śmieciami i śmiercią, ale przynajmniej było ciepło, a spadzisty daszek zapewniał schronienie przed wiosenną wilgocią. Względnie cieplej było również dzięki odpowietrznikom, które wydmuchiwały fale gorącego powietrza z wnętrza lokalu.

Wkrótce skończy dziewięć lat.

Nie tak chciałby spędzać urodziny.

Ile urodzin minęło, odkąd trafił na ulicę?

Podniósł brudną rękę i zaczął wyliczać na palcach pory roku, które obserwował, jak przychodzą i odchodzą. Wiosna, jesień, zima, lato. Z tego co pamiętał, każda powtórzyła się dwa razy. *Dwa lata*, pomyślał. To okropnie długo dla małego chłopca, który przebywał na ulicach Nowego Jorku, włóczył się po alejkach w poszukiwaniu jedzenia i walczył z innymi wyrzutkami o bezpieczne miejsce do spania.

Luciano nie znał innego wyjścia.

Przynajmniej tej nocy będzie mu na tyle ciepło, że zdoła powstrzymać dreszcze.

– Jesteś głodny, chłopcze?

Głos pojawił się znikąd. Był mroczny i głęboki, typowo męski. Wydawał się również dziwnie znajomy. Mówił po włosku, nie po angielsku, jednak Luciano rozumiał oba języki. Oczy chłopca otworzyły się szeroko, strach zaczął wypełniać go od środka. Jego wzrok natychmiast powędrował do wejścia uliczki, by zobaczyć, czy ktoś się nie wśliznął, kiedy czujność Luciana spadła.

Jak mógł być taki głupi?

Luciano zerknął przez ramię i natrafił na spojrzenie zielonych oczu mężczyzny, który przyklęknął na kolano, by znaleźć się na poziomie jego wzroku. Coś pachnącego ciepło i słodko przebiło się przez ostrą nutę wody kolońskiej. W czystym, wyprasowanym garniturze ten człowiek wyglądał przy Lucianie jak król. Nawet jego buty lśniły w ciemnej uliczce.

Mężczyzna wyciągnął przed siebie paczuszkę i powiedział:

– Weź.

Luciano zawahał się.

– Nie, dziękuję.

– To nic złego, przysięgam. Tylko ciastka. Z kawałkami czekolady. Prosto z pieca. Moje ulubione.

Luciano nadal odmawiał wzięcia paczuszki. Unieruchomiony spojrzeniem nieznajomego, chłopiec czuł się tak, jakby został przejrany na wylot. Ręka wyciągnięta do przodu delikatnie odsunęła za długie włosy z czoła chłopca. Ten czuły gest go przestraszył.

Jak płochliwa mysz, Luciano odskoczył do tyłu, uderzając plecami w kontener. Mężczyzna zmarszczył brwi na ten oczywisty przejaw strachu.

– Nie skrzywdzę cię, dziecko. Nigdy bym tego nie zrobił.

Czego ten człowiek od niego chciał?

– Jak masz na imię? – zapytał po włosku mężczyzna.

Luciano załkał cicho.

– Proszę, nie krzywdź mnie.

- Powiedziałem, że tego nie zrobię. Twoje imię, dziecko.
- Luciano.
- Nazwisko? – naciskał delikatnie. – Proszę, podaj mi nazwisko, które nadał ci ojciec.

Luciano potrząsnął głową zawzięcie. Dobrze wiedział, że nie powinien tego zdradzać nikomu. Matka była stanowcza w tej kwestii, jego nazwiska nie można bezpiecznie wymawiać na głos. Istnieli ludzie, którzy skrzywdziliby go, gdyby dowiedzieli się, skąd pochodził.

Mężczyzna westchnął i potarł czoło.

- Od jak dawna żyjesz w ten sposób?

Luciano podniósł rękę i pokazał dwa palce.

Mężczyzna wzdrygnął się.

- A twoja matka?

- Kazała się ukryć.

– Oczywiście. – Mężczyzna wstał i poprawił spodnie. – Myślałem, że jesteś ostrożny, chłopcze, ale moi ludzie widzieli cię tutaj już więcej niż raz. Widzisz, ta restauracja jest moją własnością. Jedyne, co powstrzymało ich od przegonienia cię stąd, to fakt, że usłyszeli, jak mruczysz coś po włosku. Kiedy cię opisali... musiałem zobaczyć na własne oczy.

Co zobaczyć?

Luciano nie mógł dłużej znieść spojrzenia mężczyzny. Zmieniło się z zaciekawionego, w smutne i pełne żalu.

- Proszę, sir, jeśli obiecuję, że więcej tu nie przyjdę, pozwolisz mi odejść?

- Nie.

- C-co? Dlaczego?

– Znałem twojego ojca, chłopcze. Był moim najlepszym przyjacielem. Zawiódłby się na mnie ogromnie, gdybym pozwolił ci nadal żyć w ten sposób.

Luciano zmusił się do przełknięcia guli w gardle.

- Mojego ojca?

– Mam na imię Antony. Byłem *caporegime*, jak twój ojciec. Teraz jestem bossem. Bossem, dziecko. Rozumiesz, co to znaczy?

Mgliste wspomnienia zaczęły pojawiać się w jego świadomości. Słowa ludzi, których Luciano nie rozumiał zbyt dobrze, ale wiedział, że jego ojciec był jednym z nich. La Cosa Nostra. Jego matka, *goomah* ojca.

Antony zaczął znowu mówić, odciągając chłopca od jego myśli.

– Wiedziałem o twojej matce, ale o tobie dowiedziałem się dopiero po wszystkim. Jest mi bardzo przykro z tego powodu.

– *Momma?* – zdołał zapytać Luciano.

Antony raz skinął głową w odpowiedzi i uśmiechnął się sztywno.

– Czy chciałbyś spać dzisiaj w łóżku, Luciano?

– Ja... – Czy mógł zaufać temu Antony'emu?

– Mam w domu dwóch małych chłopców – mówił dalej Antony, a jego głos stawał się coraz bardziej delikatny. – Dante i Giovanni. Dante właśnie skończył osiem lat. Gio ma sześć, wkrótce skończy siedem. Założę się, że bardzo chcieliby cię poznać i mieć nowego kompana do zabaw.

– Kazała mi się ukryć – powiedział Luciano po cichu. Chciał, żeby ten mężczyzna zrozumiał. – Nie powinienem.

– Już nie musisz się ukrywać, dobrze? Sprawilem, że ludzie, którzy skrzywdzili twoich *madre* i *padre*, zniknęli. Jestem bossem, pamiętasz?

– Bossem – powtórzył Luciano.

– Łóżko? – zapytał Antony raz jeszcze.

– Proszę.

Antony uśmiechnął się olśniewająco. Dwaj mężczyźni pojawili się w wyjściu uliczki, zasłaniając sobą jedyne światło, które tam docierało. Jeden trzymał koc, drugi stał cicho, ze stoickim spokojem i rękoma skrzyżowanymi na piersi. Antony pstryknął palcami, a mężczyzna z kocem podszedł bliżej i mu go podał. Antony okrył Luciana bez słowa.

- Chce pan, żebym go wziął, bossie?
- Nie – powiedział Antony, ledwo zerkając na tego człowieka.
- Będzie od teraz wychowywany jako mój syn. Ja go wezmę.
Mój syn.

Zanim Luciano mógł cokolwiek powiedzieć, już znalazł się w ramionach Antony'ego, zupełnie, jakby nic nie ważył. Instynktownie owinął ręce wokół szyi, a nogi wokół talii mężczyzny. Antony wypuścił drżący oddech, ale nie skomentował zapachu, który unosił się od chłopca, ani brudu, który właśnie osiadał na jego garniturze.

– Od teraz będziemy nazywać cię Lucian. Lucian Marcello. Rozumiesz?

Luciano przytaknął.

– *Si.*

– Chodźmy do domu, Lucianie. Moja żona od dawna chce cię poznać.

Lucian obudził się z nagłym szarpnięciem. Pot spływał mu po skórze, pozostawiając kropelki na nagiej klatce piersiowej. Przez krótką chwilę starał się przyzwyczaić wzrok do ciemności, ale przypomnienie sobie, gdzie był, nie zajęło mu długo. Znajome otoczenie przyniosło ukojenie mięśniom obolałym od starych wspomnień.

Nieczęsto śnił o nocy w Brooklynie, już nie. Czasami wspomnienia zakradały się do jego myśli i nie chciały odpuścić. Samo wspomnienie nie było koszmarem. Antony zabrał go z ulicy, dał mu dom, braci, matkę i ojca, to najlepsze, co Lucianowi przytrafiło się w życiu. Chodziło o wszystko inne, co dotyczyło tej nocy, rzeczy, które wydarzyły się wcześniej... teraz jawiły się jako koszmary.

Lucian odetchnął głęboko, przeczesał włosy palcami i usiadł w swoim starym łóżku. Niezależnie, jak mocno się starał, nie mógł znaleźć dobrej przyczyny, dla której wciąż śnił o tej nocy. Było tak, jak gdyby jego biologiczni rodzice ostatnio nawiedzali jego myśli.

Miał rodziców – takich, którzy bardzo go kochali.

Nie było ani jednej rzeczy, której Lucianowi by brakowało, od kiedy zamieszkał w domu Marcella, chociaż przez cały pierwszy miesiąc spał w szafie, zanim przyzwyczał się do wielkości nowej sypialni. Jego obawy przed zaufaniem Antony'emu i Cecelii – adopcyjnej matce – łamały im serca, ale dali Lucianowi czas i przestrzeń, aż był gotowy na ogrom miłości, wsparcia i opieki, które mu dali.

Nowi bracia okazali się najbardziej serdeczni, a jednocześnie przerażający. Teraz wydawało się to zabawne, ale wtedy dwaj chłopcy, którzy żartowali, tryskali energią i rzucali włoskimi przekleństwami na prawo i lewo, śmiertelnie przerażali Luciana. Lubili robić zamieszanie, zarówno wtedy, jak i teraz. Dante był największym z trójki chłopców Marcella, chociaż obecnie Lucian przewyższał go o kilka centymetrów, Giovanni – Gio dla rodziny i przyjaciół – zdecydowanie był najbystrzejszy i najsprytniejszy z całej trójki, zawsze wkręcał ich w kłopoty, a potem potrafił się z nich wyplątać, kiedy tamci zostali złapani.

Lucian miał dobre wspomnienia z późniejszych lat dzieciństwa. Antony i Cecelia dali mu wszystko to, co stracił wcześniej, a nawet rzeczy, których nie miał przed śmiercią matki.

Nigdy też nie ukrywali przed nim prawdy.

Matka, którą tak uwielbiał, okazała się być kochanką ojca. Kimś, kogo kochał, owszem, ale nie kimś, kogo chciałby poślubić, albo kimś, dla kogo porzuciłby żonę. Przecież w ich świecie małżeństwo było na całe życie. Nie musiało w nim chodzić o miłość, a związek jego ojca zdecydowanie się na niej nie opierał.

John Grovatti poślubił żonę w ramach umowy zawartej między jego własnym ojcem i ojcem panny młodej. Kate była podłym stworzeniem w bardzo wielu aspektach. Kłamała swojemu tatusiowi na temat ojca Luciana, opowiadała, jak okropnie traktował ją mąż, jak ją bił, jak nie chciał dzielić z nią łóża, bo był zbyt zajęty w łóżku innej kobiety.

Cóż, przynajmniej to ostatnie nie było kłamstwem.

Niemniej, czyny Johna miały swoje konsekwencje.

Boss nie musiał uzyskiwać pozwolenia na podjęcie decyzji o uderzeniu, niezależnie w kogo było wycelowane.

– *Cazzo* – zaklął pod nosem Lucian, skopał z siebie kołdrę i postawił bosc stopy na zimnej, drewnianej podłodze. – Cholera.

Te wspomnienia to nie rzeczy, o których chciałby myśleć dzisiejszej nocy. Była sobota, a bracia Marcellowie zawsze spędzali tę noc w domu rodziców i całą rodziną uczestniczyli we mszy następnego dnia. Matka zawsze przygotowywała ogromne śniadanie, potem szli na mszę i spędzali resztę dnia wspólnie, kończąc go wieczorem rodzinną kolacją i drinkami. Robili to od chwili, gdy pierwszy z synów się wyprowadził, i trwało to cały czas, nawet kiedy wyniósł się ostatni z nich. W niedzielę nie załatwiano żadnych interesów, ale nie było też odpoczynku.

Lucian nie miał tutaj swojego worka treningowego, na którym mógłby wyładowywać frustrację tak długo, aż padłby ze zmęczenia. Zamiast tego zaczął przeszukiwać szafkę nocną w nadziei, że matka nie pozbyła się jego zapasu zioła.

Oczywiście Cecelia to zrobiła.

Lucian był zaskoczony, że jeszcze nie musiał wysłuchać jej wykładu, skoro to znalazła.

Bardziej wzburzony niż wcześniej, zwałókł się z podwójnego łóżka, chwycił dresy, które zdjął wcześniej, i nałożył spodnie. Nie minęło wiele czasu, kiedy zaczął swoją cichą wspinaczkę na górę trzypiętrowego domu tak, jak robił to już wiele razy. Skoro

w jego starej sypialni nie było niczego, co pomogłoby mu uspokoić zszargane nerwy, znajdzie coś w gabinecie ojca.

W końcu Antony również lubił whisky i cygara. Poza tym, dwadzieścia siedem lat życia nie pomogło Lucianowi zbytnio w powstrzymaniu się, kiedy czegoś chciał. Zupełnie jak w przypadku pozostałych mężczyzn z jego rodziny.

Może to charakterystyczna cecha Marcellów.

Lucian wtoczył się do gabinetu ojca, wciąż odczuwając skutki swojego snu, by znaleźć to, czego wcale się nie spodziewał. Antony siedział za biurkiem i popijał ze szklaneczki w połowie napelnionej bursztynowym płynem, Dante leżał wyciągnięty na skórzanej kanapie i kiwał głową na coś, co ojciec powiedział tuż przed wejściem Luciana.

Antony ledwo zerknął znad swojej szklanki.

– Nie masz jakichś ubrań?

Lucian wzruszył ramionami. Nie obchodziło go, że był półnagi.

– Nie sądziłem, że ktoś jeszcze nie śpi.

– Mam nadzieję, że masz na rano do kościoła coś lepszego niż dresy i te dzinsy, które uwielbiasz. Matka nie będzie zadowolona, jeśli znowu pójdziesz na mszę w ciemnych, spranych spodniach, Lucianie.

Dante parsknął krótko.

– Mama upewni się, że będzie dobrze ubrany. Jego garderoba powiększyła się o sześć garniturów od Armaniego szytych na miarę i wydaje mi się, że kilka kazała dostarczyć tutaj, żeby nie mógł wykręcić się tym, że zostawił je w mieszkaniu.

Cóż, ta rozmowa prowadzi donikąd, stwierdził Lucian.

– *Vaffancullo* – wymamrotał Lucian, dobitnie dając bratu do zrozumienia, że ma się pieprzyć. – Odwal się. Noszenie garniturów każdego dnia tygodnia nie jest normalne, dobra? Muszę go nosić od poniedziałku do soboty, więc chociaż w niedzielę mógłbym założyć to, na co mam ochotę.

- Dobrze, gdy jest się odpowiednio ubranym – dodał ojciec.
- I uważaj na słownictwo.
- Wszystko jedno.
- Dlaczego nie śpisz? – zapytał Antony i odstawił szklanę na stół.

Ciśnienie Luciana wzrosło pod czujnymi spojrzeniami ojca i brata.

– Tak po prostu. Coś mnie obudziło, jakiś dźwięk, nie wiem. Gdzie Gio?

To nie w stylu ojca, by spotykać się z jednym z braci, wyłączając pozostałych. Lucianowi wcale się to nie spodobało.

Dante z obojętnością machnął ręką w powietrzu.

– Drinki, które wypił, zanim wczółgał się do łóżka, skutecznie go powaliły.

Kątem oka Lucian zobaczył, jak ojciec się wzdrygnął. Nie było tajemnicą, że najmłodszy z synów Marcella miał pewne problemy. Większość z nich kręciła się wokół jego zamiłowania do alkoholu, a czasami nawet czegoś mocniejszego niż gorzalka. Jako najmłodszy z chłopców, zawsze miał trochę więcej przestrzeni i swobody niż pozostali dwaj, ale Lucian wiedział, że Antony nosił się z zamiarem wysłania syna na odwyk za granicę, żeby rozwiązać wszystkie jego kłopoty, skoro sam nie potrafił tego zrobić.

– Było źle? – ośmielił się zapytać Lucian.

– Nie zdołał przyjechać sam do domu, ale zjawił się tu na jutrzejszą mszę – powiedział Antony. – Lepiej niż w zeszłym tygodniu.

– Może powinienem mieć oko...

– Nie, nic nie rób – przerwał stanowczo Dante. – Jeszcze nie. Daj mu szansę, żeby sam sobie z tym poradził.

Lucian rzucił ojcu spojrzenie, szukając potwierdzenia, czy właśnie tego od niego chciał. Antony nie odezwał się, tylko wzruszył ramionami, podniósł szklanę i wypił kolejny łyk czegoś, co jak Lucian podejrzewał, było whisky.

– Mówię tylko, że mógłbym się do niego nieco zbliżyć.

– Jasne – powiedział Antony, kiwając głową. – Ale w czym to pomoże, Lucianie? Jak dotąd utrzymuje swoje sprawy z dala od interesów. Mam nadzieję, że tak pozostanie. Jeśli nie...

Lucian zmarszczył brwi.

– Ale...

– Ale nic. Ma dwadzieścia pięć lat, zaraz skończy dwadzieścia sześć, nie jest już małym chłopcem.

Tak, ale Gio wciąż był jego młodszym bratem.

Lucian spojrzał w kierunku wielkiego, zdobionego zegara dziadka, wiszącego w rogu gabinetu. Było już dobrze po drugiej w nocy, czyli zaczęła się niedziela. Teraz naprawdę zaciekał go powód późnonocnego spotkania w biurze Antony'ego, nie obejmującego ani jego, ani Gio, a w oczywisty sposób dotyczącego interesów.

Żadnych interesów w niedzielę. Taka była zasada.

Tak jak odpowiedni ubiór, niezależnie od sytuacji publicznej. Pomimo że znajdowali się na liście Departamentu Obrony jako jedna z najważniejszych rodzin przestępczych Ameryki Północnej, ze względu na wpływy, jakie mieli w handlu bronią i narkotykami. Nie można zapomnieć również o wymuszeniach, szantażach, przemyśle, hazardzie... lista nie miała końca.

Tak naprawdę zasad było kilka.

Dla Włochów rodzina należąca do Cosa Nostry była wszystkim i właśnie takie życie wiedli Marcellowie.

Rodzina. Honor. Bóg.

La familia. Onore. Dio.

Chciwość. Pieniądze. Interesy.

Wszystkim tym należało się zająć. Wygląd to bardzo ważny aspekt. Rodzina była wszystkim. Oczekiwano dumy i nieustraszoneści. Syndykat i wrogowie nauczyli się też spodziewać zimnej bezwzględności, kiedy wchodzili w drogę Marcellom. Musieli zachowywać zimną krew, niezależnie od sytuacji. Wy-

kluczone było opuszczanie domu bez broni. Z gliniarzami nie wolno było się kontaktować, spoufalać ani im wierzyć.

Lucian zrozumiał, jak pracować i używać broni, zanim skończył dwanaście lat. Gdy miał trzynaście, potrafił rozłożyć i złożyć pistolet. Jako dziecko wiedział, że piwnica i poddasze to nie miejsca na jego zabawy i eskapady, jak inne pokoje w domu, ponieważ w jednym ojciec miał ogromną kolekcję nielegalnej broni, a w drugim znajdowały się zasoby przysyłanych i odsyłanych dalej narkotyków.

Nie byli dobrymi ludźmi. Lucian z resztą wcale tego nie chciał.

Jednak czuł dumę ze swojej rodziny. Po prostu tacy byli.

– Interesy w niedzielę, *papà*? – zapytał, wskazując na zegar.

Antony spojrzał gniewnie znad biurka.

– Nie miałem zbyt wielkiego wyboru. Usiądź, możemy teraz porozmawiać, jak sądzę. Tylko ani słowa Cecelii.

Zrobił, jak mu kazano, i spoczął na jednym z krzeseł z wysokim oparciem, które zawsze stały przy biurku ojca.

– Chcesz, żebym poszedł obudzić Gio?

– Nie, jest pewnie nadal zbyt pijany, żeby zrozumieć powagę sytuacji. Pomówię z nim po mszy.

Lucian wyprostował się nieco na krześle. Takie słowa nie wróżyły zbyt dobrze.

– Co się dzieje?

– Wiesz, że wolałbym, żebyś przestał niszczyć swoją skórę tym okropnym tuszem, Lucianie?

Lucian uśmiechnął się pod nosem i wzruszył ramionami. Miał wiele tatuaży, każdy ważny na swój sposób. Najnowszy ciągnął się przez jego pierś, od jednego obojczyka do drugiego, tworząc elegancki napis: *This Thing of Ours*. Oznaczał dokładnie La Cosa Nostra po angielsku. Zazwyczaj ojciec zerkał na jego tatuaże z dezaprobatą człowieka, który nie lubił tuszu, ale nic nie mówił. Werbalne niezadowolenie było czymś nowym.

Uniósł znacząco brew, patrząc na brata ponad ramieniem, i zastanawiał się, co, do cholery, ugryzło dziś ojca. Dante również usiadł na kanapie; powaga spowiła jego zwykle radosne oblicze. Nie żeby Dante był przyjazny dla kogokolwiek spoza rodziny lub interesów.

– To noc czepiania się Luciana czy jak? – zapytał z sarkazmem Lucian.

– Przynajmniej możesz je zakryć, jak sądzę – powiedział Antony, ignorując uwagę syna. – Jeśli Gio zrobi sobie kolejny tatuaż na szyi, tam, gdzie mogę je łatwo zobaczyć, gdy ma na sobie koszulę, wypalę je za pomocą rozgrzanego noża i opalarki. Zobaczymy, jak bardzo lubi ból.

Lucian zadrżał, ale udało mu się to ukryć. Antony nie rzucał gróźb na wiatr, nawet jeśli były skierowane do jednego z synów.

– Ograniczę tusz do minimum – powiedział Lucian, by uspokoić ojca.

– Lepiej tak zrób.

Albo nie będę zdejmował koszuli, żebyś nie widział, pomyślał w duchu.

– Więc, co się dzieje?

Antony dokończył swoją whisky, zanim przemówił.

– Jakies dziesięć minut po północy miała miejsce strzelanina pomiędzy władzami a Synami Piekieł, gangiem motocyklowym, który ostatnio mam na oku.

To zdecydowanie przyciągnęło uwagę Luciana.

– Och?

– Przed moim kasynem.

Cholera.

– To niedorzeczne.

Antony przytaknął krótko. Widać było gniew wypisany na jego twarzy.

– Mam gdzieś ich interesy. Pozwoliłem im zajmować się tymi ich bzdurami na moim terytorium, bo nie wyrządzały mi żadnej

szkody. Sowiecie płacą *capo*, by utrzymać miejsce i spokój, tak jak każdy diler broni czy narkotyków, który pracuje na moim terenie. Przestrzegają reguł, więc nie mam z nimi problemu.

– Ale? – Lucian naciskał, wiedząc, co nadchodziło.

– Ale tym razem jest inaczej – odezwał się Dante z tyłu. – Sprowadzają na nas uwagę, której teraz nie potrzebujemy. Prowadzimy wszystkie nasze interesy w ukryciu i ostatnie, czego potrzebujemy, o czym powinniśmy choćby pomyśleć, są powiązania z gangiem motocyklowym znanym z narkotyków i rozlewu krwi.

– A my nie jesteśmy z tego znani? – spytał Lucian.

Antony zaśmiał się.

– My przynajmniej jesteśmy dobrze ubranymi grzesznikami.

Cóż, pieniądze wiele potrafią.

Lucian nadal czuł, że to nie koniec tej historii.

– Czego mi nie mówicie?

– Tym razem zapędzili się za daleko. – Antony westchnął i znużenie odbiło się w jego zielonych oczach. – Wojna, którą wypowiedzieli nowojorskiej policji, z pewnością odciągnie od nas uwagę gliniarzy na jakiś czas. Ale jest źle, Lucianie. Młoda para odbierała kolegę spod kasyna. Na tylnym siedzeniu sedana mieli dziecko. Cała rodzina została zabita, tak jak trzech policjantów i jeden członek gangu.

O, cholera. Lucian poczuł, że robiło mu się niedobrze.

– Tato, nie możesz winić swoich...

– To nie pierwsi niewinni, którzy zostali zabici w bałaganie, który robią motocykliści – ciągnął Antony, niewzruszony. – My rozumiemy, że przypadkowe szkody mogą się zdarzyć, ale oni nie wiedzą, kiedy przestać. Nie pozwolę, żeby ich bałagan wpłynął na moje interesy i rodzinę.

– Zmusimy ich, żeby przestali – powiedział Dante, podszedł i stanął za krzesłem brata.

– Co, urządzimy Montreal?

Kilka dekad wcześniej, włoska rodzina przestępcza w Montrealu, w Kanadzie, wmieszała się w wojnę gangów o terytorium, żeby powstrzymać rozlew krwi i przemoc. O dziwo, zadziałało.

Antony rzucił mu niezbyt zadowolone spojrzenie.

– Nie sądzę. To nie jakieś szczeniackie gangi, rzucające się sobie do gardeł. Tu chodzi o policję i dobrze znany, świetnie zorganizowany gang motocyklowy, który ma ponad sto pięćdziesiąt klubów w całych Stanach i kilka w Kanadzie. Nie będzie łatwo, ale musimy to powstrzymać.

Strach był świetnym motywatorem.

Rodzina Marcellów była wystarczająco duża, by przechylić szalę w tym sporze.

– Prawdopodobnie nie będzie łatwo – zgodził się Lucian. – Ale czy kiedykolwiek było?

– Chcę, żeby to dobiegło końca – podsumował ojciec głosem zabarwionym smutkiem. – Usiądźmy i zrobmy listę nazwisk, tych ważnych. Możemy z łatwością zorganizować spotkanie z przewodniczącym klubu czy z kimkolwiek innym.

– A jeśli nie weźmie twojej... rady... na poważnie? – zapytał Lucian.

– Zaczniemy wykreślać nazwiska z listy, aż zrozumieją – dokończył za ojca Dante.

Brzmiało dość prosto, prawda?

Jednak rzadko cokolwiek takie było.

ROZDZIAŁ DRUGI

Kościół to zawsze było jakieś pieprzone przedstawienie.

Lucian rozumiał wagę, jaką matka i ojciec przywiązywali do religii, nawet ich za to szanował, ale nie mógł powiedzieć, że to lubił. Niedzielna msza była czterogodzinnym – przynajmniej – wydarzeniem, ponieważ stowarzyszenie wiernych ich kościoła liczyło mnóstwo ludzi. Nieskończenie wiele.

Jednak powodem, dla którego Lucian naprawdę nie znosił tego wydarzenia, był fakt, że czuł się wtedy jak pchła pod mikroskopem. Rodzina Marcellów uczęszczała do tego kościoła od czasów, kiedy pradziadek Antony'ego wysiadł z łodzi, która przetransportowała go tu z Sycylii jakieś dziewięćdziesiąt kilka lat temu. Składali ogromne datki na Kościół, nie wspominawszy już o wszystkich akcjach charytatywnych, które sponsorowali.

Przecież mieli tak dużo pieniędzy, podczas gdy inni posiadali tak cholernie mało. Najwidoczniej Kościół miał gdzieś, skąd pochodziły banknoty i jak zostały zarobione, o ile kieszenie pozostawały pełne.

Jednak parafia wiedziała, a przynajmniej takie sprawiała wrażenie.

Prawdopodobnie nie pomagało też, że bez żadnych pytań czy sugestii, pierwszy rząd zawsze zarezerwowany był dla Antony'ego i jego rodziny. Nikt nigdy nie zajął ich miejsc. Kiedy dotarli do kościoła, ludzie wypełniali go już prawie po brzegi. Mijanie kolejnych rzędów osób, które jedyne, co robiły, to gapiły się i szeptały, było naprawdę irytujące.

Ich twarze rozpoznawali wszyscy. Każdy z synów Marcella niósł za sobą fortunę i każdego otaczała aura niebezpieczeństwa zmieszana z pokaźną dawką uroku i charyzmy. Nie miało większego znaczenia, że ich nazwisko oznaczało również zorganizowaną przestępczość i schedę Cosa Nostry. Atrakcyjny wygląd, piekielnie arogancki uśmieszek i dobry samochód przeważnie naprawiały wszystko. Przystojna z nich ekipa, wszyscy wysocy i dobrze zbudowani. Zawsze ubrani w dopasowane garnitury, które kosztowały więcej niż większość zgromadzonych tam ludzi zarabiała przez miesiąc.

Czasopisma towarzyskie uznawały ich za trzech najlepszych kawalerów w Nowym Jorku. Rzadko fotografowano ich z kobietami, kiedy już gdzieś wychodzili, ale to był ich własny wybór. Łatwiej pozwolić opinii publicznej spekulować na temat bardziej prywatnych aspektów ich życia, niż dawać otwarty pokaz. Poza tym, żadna z partnerek, z którymi spędzali czas, nie była tego rodzaju kobietą, jaką którykolwiek z chłopców chciałby, żeby społeczeństwo uznało za kogoś więcej niż w rzeczywistości.

Były tylko kimś do pieprzenia, sprośnego i szybkiego. Zapewniały cholernie dobrą rozrywkę.

Zdecydowanie nie były to kobiety, które zabraliby do domu i przedstawili Antony'emu i Cecelii. A skoro nie zapraszali ich do domu, oczywistym faktem było, że matka i ojciec nie chcieli czytać o nadprogramowych stosunkach, które ich synowie mieli lub nie, ze wspomnianymi kobietami. To kwestia szacunku.

Kolejna zasada, którą można dodać do listy.

Cholernie proste.

Lucian rozparł się na ławce i westchnął sfrustrowany. Rozkład miejsc siedzących w ich rodzinie wyglądał tak samo każdej niedzieli. Matka zawsze siedziała po lewej stronie Antony'ego, a Dante po prawej, obok niego Lucian i Gio. W zasadzie tak wyglądała hierarchia w rodzinie.

Nie miało znaczenia, że Antony był donem – szefem przestępczej rodziny Marcellów – Cecelia była szefem *ich* rodziny. Hierarchia nie miała w żaden sposób umniejszać czyjejś ważności w rodzinie, ale wyraźnie pokazywała, kto był kim.

Cecelia jako żona i matka była najważniejszą osobą dla mężczyzn Marcellów. Była wybranką Antony’ego, równą jemu. Dante, zarówno w interesach mafijnych, jak i sprawach prywatnych, stanowił prawą rękę ojca – dla rodziny, zastępcę. Lucian, *capo*, był przybocznym brata. Gio, także *capo*, ostatni w tym szeregu, prowadził własną ekipę w zachodniej części miasta. Nie chodziło o to, że najmłodszy syn nie poradziłby sobie z większą odpowiedzialnością, ale był naprawdę dobry w tym, co robił. Młody wiek dawał mu możliwość nawiązania relacji z młodszymi członkami ekipy. Szanowali go o wiele bardziej niż starszych.

Wszyscy wiedzieli, że kiedy Antony w końcu odda swoją pozycję, tytuł bossa przejdzie na Dantego. Lucian, z kolei, będzie wspierał brata jako jego zastępcę. Los Gio nadal nie był określony, ale to jego własny wybór. Zawsze tak to wyglądało, nawet kiedy byli dziećmi.

Jednak dzisiaj rozkład miejsc w kościele prezentował się inaczej.

Lucian siedział u boku matki, a Gio tam, gdzie zwykle Dante, obok ojca. Sam Dante, najwyraźniej zupełnie nieprzejęty zmianą scenerii, zasiadał na końcu, poświęcając księdzu tylko niezbędną minimum uwagi.

To nie zmiana miejsc sprawiła, że Lucian znalazł się na brzegu. Tak naprawdę miał głęboko w dupie, gdzie siedział. Z pewnością wiele osób w kościele zastanawiało się nad tą nagłą zmianą po ponad dekadzie, kiedy rodzina siedziała w dokładnie tym samym porządku, ale nie obchodziło go to. Chodziło o to, że siedząc dwa miejsca od matki, jak to zwykle bywało, Lucian mógł przynajmniej gapić się na misterne malowidła pokrywające ściany albo na wysoko sklepiony sufit. Dzięki temu mógł zatracić się w czymkolwiek innym niż brzęczący głos księdza, prawiącego

kazanie człowiekowi, którego ledwo interesowały wypowiadane słowa.

Ale nie. Siedzenie obok matki oznaczało, że skupienie Luciana było dokładnie monitorowane.

Zaczynał już tracić rozum.

Delikatny dotyk dłoni matki na kolanie wyrwał Luciana z zamyślenia. Dała jego rozkojarzonemu umysłowi wystarczająco czasu, by usłyszał, że ojciec Peter poprosił wiernych o powstanie jeszcze raz, by dołączyli do niego w ostatniej modlitwie. Stojąc, Lucian zmówił własną niemą modlitwę dziękczynną za to, że ten długi poranek wreszcie dobiegał końca.

Cholera, był też piekielnie głodny.

Modlitwa, tak znajoma jak kościół, w którym stał, wypowiedana była cicho i pewnie. Lucian wykonał znak krzyża, przyciskając dwa palce do klatki piersiowej, i powtórzył za wszystkimi:
– Amen.

Niestety kiedy odwrócił się, by wyjść, jak wszyscy inni, Cecelia zablokowała go w swój matczyzny sposób, kładąc dłoń na jego ramieniu.

– Usiądź, skarbie – mruknęła łagodnie.

Lucian zmarszczył brwi, spojrzał przez ramię, by zobaczyć, jak bracia i ojciec opuszczają kościół wraz z resztą wiernych. Nie odwrócili się nawet, by zauważyć, że pozostali członkowie ich rodziny zostali w tyle. Nie zwracając sobie głowy protestowaniem, jako że nie miało to sensu przy Cecelii Marcello, Lucian usiadł z powrotem w ławce.

Wyglądała tak, jak zawsze w niedzielny ranek. Włosy upięte w nieskazitelny kok, ani jedno czekoladowe pasmo nie leżało tam, gdzie nie powinno. Cecelia nie używała mocnego makijażu, nie potrzebowała go, ale ta odrobina, którą miała, została nałożona perfekcyjnie i oszczędnie. Chociaż ciemnogrnatowa sukienka, którą miała na sobie, wydawała się prosta, a zarazem

bardzo stylowa i odpowiednia do okazji, Lucian był pewien, że kosztowała przynajmniej pięć tysięcy.

Cecelia była bardzo interesującą postacią, zagadkową w wielu aspektach. Ludzie często oceniali ją po twarzy, urodzie i miłym uśmiechu, przyjaznym usposobieniu, które prezentowała, i dobrym sercu, które rzeczywiście miała.

Lucian wiedział, że byli głupcami, myśląc tylko w ten sposób.

Nie była tylko żoną i gospodynią, jak wszyscy zakładali. Z taką samą łatwością potrafiła upiec ciasto i poderżnąć komuś gardło, a wcale nie zawahałaby się tego zrobić. Cecelia była jedną z najsilniejszych, najbardziej przerażających kobiet, jakie Lucian miał przyjemność spotkać. Wychowywała się w domu bardziej surowym, niż potrafił sobie wyobrazić, jako córka byłego bossa Cosa Nostry. Tego samego bossa, którego Antony później zabił za zamordowanie jego najlepszego przyjaciela.

Tak, to dokładnie to oznaczało. Kobieta, którą poślubił ojciec Luciana, była młodszą siostrą Cecelii.

Rodzinne obiady musiały być co najmniej ciekawe.

Nie żeby Luciana w ogóle interesowała Kate.

Jednak Cecelię kochał tak mocno, jak jej rodzeni synowie. Określenie księżna mafii najlepiej opisywało jego adopcyjną matkę. Była Włoszką na wskroś. Lubiła życie, które zapewniał jej mąż, doglądała jego domu i synów, a także wspierała rodzinę w każdym przedsięwzięciu, nawet jeśli było niebezpieczne.

Dokładnie takich kobiet Antony chciał dla synów, a Lucian o tym wiedział.

– Ojciec powiedział mi, że obudziłeś się w środku nocy i spacerowałeś po domu – powiedziała Cecelia, siadając znowu obok syna.

Lucian westchnął i spojrzał na sufit, jakby ten mógł pochłonać go w całości. Czy taki był teraz plan ojca? Przekonać Cecelię, że to z jego powodu siedzieli w nocy w gabinecie?

– Obudził mnie jakiś hałas, tylko tyle. To nic.

Rzucając mu przebiegły uśmieszek, Cecelia mruknęła pod nosem z dezaprobatą:

– Z kłamstwem jest ci okropnie nie do twarzy, Lucianie.

Zawsze wiedziała.

– Przepraszam.

– Dobrze wiem, dlaczego po przebudzeniu poszedłeś do gabinetu ojca. Wiesz, on przede mną niczego nie ukrywa.

– Tak, wiem.

– Hałas, co? – zapytała Cecelia.

Lucian nienawidził okłamywać matki, więc zdecydował się tego nie robić.

– Po prostu zły sen, nic poważnego.

– Domyśliłam się. – Cecelia uśmiechnęła się, widząc zaskoczoną minę Luciana. – Matki wiedzą, skarbie. Poza tym byłeś ostatnio bardzo roztargniony. Ledwo zauważałeś dzisiaj ojca Petera.

– To kościół. Zawsze jestem rozkojarzony w kościele.

– To prawda, ale nie kiedy wiesz, że na ciebie patrzę. Znowu śniłeś o ulicach?

Lucian ponownie spojrzał na matkę z zaskoczeniem. Jak to możliwe, że znała go tak dobrze?

– Może. Jak mówiłem, to nic.

– Może – zgodziła się Cecelia, chociaż nie brzmiało to, jakby mu uwierzyła. – A może twoja podświadomość zaczęła wreszcie kwestionować wszystkie te rzeczy, których nie zrobiłeś, kiedy byłeś młodszy. Zawsze możemy porozmawiać, jeśli chcesz, Lucianie. Antony i ja damy ci wszystko, czego potrzebujesz. Powinieneś o tym wiedzieć.

Lucian zaczął czuć się trochę niekomfortowo przy całej uwadze, którą poświęcała mu matka. Nie chodziło o to, że wcześniej tego nie robiła. Cecelia była niesłychanie uważna, troskliwa i bardzo wspierała synów, ale zazwyczaj nie poruszała czegoś, jeśli ktoś inny nie zrobił tego pierwszy.

– Dlaczego zmieniliście moje imię? – Lucian zadał pierwsze pytanie z brzegu, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Nie domyśliłeś się już?

– Nie. Nigdy wcześniej mnie to nie interesowało.

– Ale teraz tak? – zapytała cicho.

Lucian wzruszył ramionami.

– Chyba po prostu jestem ciekawy.

– *Ragazzo dolce* – powiedziała Cecelia trochę karcąco, trochę uspokajająco. Słodki chłopiec, tak go nazwała. Tak zwracała się pieszczotliwie do wszystkich synów, kiedy byli mali. – Żebyś mógł być, kimkolwiek chcesz. Mogłeś pozostać Luciano, jeśli chciałeś, albo stać się kimś innym. To był dla ciebie nowy początek w jednym małym kroku. Możliwość zatrzymania wspomnień o matce i ojcu, podczas gdy dostałeś nową parę rodziców do kochania, ale mogłeś też o nich zapomnieć. Jednak nazwisko zmieniliśmy tylko dla twojej korzyści.

– Jestem Marcellem.

Cecelia poklepała go po kolanie i mrugnęła.

– Zdecydowanie. – Wstała i poprawiła dół sukienki. – A teraz idź do spowiedzi.

Tu ją miał.

– Spowiedź zaplanowana jest przed mszą i w soboty rano. Nigdy po mszy. W następną niedzielę, dobrze?

Łatwiej było omijać temat spowiedzi, niż powiedzieć Cecelii wprost, że nie spowiadał się od lat. Przecież spowiedź była przeznaczona dla tych, którzy chcieli wyznać swoje grzechy i szczerze pragnęli więcej ich nie popełniać. Lucian nie mógł powiedzieć tego o sobie.

– Ojciec Peter zrobi dla ciebie wyjątek, w ramach przysługi dla twojego ojca.

Oczywiście, że tak, pomyślał Lucian ze złością.

Cecelia uśmiechnęła się w ten znaczący sposób, który znały tylko matki.

– W ubiegłym tygodniu wspominał, że nie rozmawiał z tobą już od dawna. To niedopuszczalne, Lucianie.

Jasna cholera.

– *Merda, Mamma...*

– Takie słownictwo, na litość boską. Nie w kościele. Koniec wykrętów, minęło za dużo czasu. Idź, proszę.

Kłócenie się z pewnością nie zadziała na jego matkę.

Najwyraźniej z tej prośby nie uda mu się wymigać ładnymi słówkami i wykrętami. Matka rodu Marcellów zawsze wiedziała, jak dostać to, czego chciała. Uginając się do jej woli, Lucian skinął szybko głową i pocałował ją w policzek.

– W porządku. Wrócę do domu na obiad.

– Do zobaczenia. I, Lucianie?

– Tak?

– Wiem, że nie ufasz łatwo obcym, ale bądź szczerzy przy spowiedzi. To jedyna chwila, kiedy możesz być naprawdę sobą przy osobie innej, niż ojciec czy bracia, która wysłucha cię i zrozumie, że dobro czasami ukrywa się pod warstwą zła. Przynajmniej na tę chwilę.

Na tę chwilę?

Lucian nie miał szansy zapytać matkę, co przez to rozumiała. Cecelia już się odwróciła i ruszyła długą nawą. Kościół opuścili praktycznie wszyscy wierni, poza kilkoma maruderami z tyłu. Najwidoczniej nie tylko on planował najkrótszą drogę wyjścia z tego starego budynku.

Niestety Lucian dobrze wiedział, że to się dzisiaj nie uda. Spowiedź mogła trochę potrwać, zwłaszcza jeśli zostanie przeprowadzona poprawnie i, jak wspomniała matka, szczerze. Pokuta mogła być jeszcze dłuższa. Tego również się obawiał, chociaż nie wiedział, którego bardziej nie lubił.

Świadomy tego wszystkiego, Lucian bardzo powoli przebył długą drogę do konfesjonatu. Miał odległe wspomnienia ze swojej pierwszej spowiedzi, której zażądała matka. Odbyla się w nie-

dziele, tuż po jego osiemnastych urodzinach. Antony pozwolił chłopcom urządzić ogromną imprezę – coś, z czego byli znani – w ich posiadłości położonej na zamkniętym osiedlu w Tuxedo Park, w hrabstwie Orange, w stanie Nowy Jork. Opieka rodzicielska została wtedy ograniczona do minimum.

Nie chodziło o to, że na piątkowej imprezie poszło coś nie tak, ale następny poranek to już co innego. Cecelia natrafiła na zbiór standardowych akcesoriów Luciana: ziło, kondomy i temu podobne. Stwierdzenie, że nie była dumna, byłoby grubym niedopowiedzeniem, ale w cholerę z tym, miał przecież osiemnaście lat i właśnie przygotowywał się do przeprowadzki do swojego apartamentu na Manhattanie. Zawsze bardzo uważał, by trzymać swoje rzeczy z dala od wzroku matki, ale ta noc była prawdziwym szaleństwem, a poranek zastał go w swego rodzaju odurzeniu.

Cecelia bardziej przejęła się kondomami niż wszystkim innym.

Wciąż pamiętał jej przesłuchanie. Przez cały ten czas Antony siedział z boku, uśmiechając się pod nosem, wyglądając na bardzo zadowolonego z siebie. Ojciec oczywiście wiedział, co jego synowie robili za zamkniętymi drzwiami. Z kolei jego dwaj bracia zaśmiewali się do rozpuku pod drzwiami gabinetu.

– Czy to pierwszy raz, kiedy ty... no wiesz, czy może dzieje się to już od jakiegoś czasu? – zapytała wtedy matka. – Kochasz tę dziewczynę? Zabezpieczasz się?

Lucian starał się, naprawdę z całych sił, by się nie zaśmiać, ale jego zamroczony umysł nie chciał współpracować. Jego odpowiedź była cholernie prosta.

– Nie, robię to odkąd skończyłem czternaście lat. Dziewczyny i zdecydowanie nie – poprawił przy drugiej odpowiedzi. – Ale tak, zawsze się zabezpieczam.

Nie taką odpowiedź matka chciała usłyszeć, może poza ostatnią częścią. W takiej sytuacji Cecelia zdecydowała zabrać go do spowiedzi jeszcze tego samego ranka. To z całą pewnością wspa-

niały sposób na spędzenie poranka po hucznej imprezie, zwłaszcza gdy człowiek musi radzić sobie z ciężkim kacem.

Wcale nie.

Lucian tak zatopił się w myślach, że nie spostrzegł, kiedy znalazł się trzy metry od konfesjonału. Konfesjonały w ich katolickim kościele przypominały mu wszystkie te, które widział w starych, czarno-białych filmach zawierających sceny spowiedzi – niezbyt zachęcającej jakości, z dwiema stronami i czarnymi zasłonami ukrywającymi wewnątrz ludzi.

Rozejrzał się szybko za ojcem Peterem, który przeważnie stał na zewnątrz swojej strony konfesjonału, pokazując wiernym, że czekał, by przyjąć ich spowiedź. Nigdzie nie dostrzegł mężczyzny w sutannie. Zasłony konfesjonału były zaciągnięte po obu stronach.

Lucian założył, że skoro matka powiedziała o specjalnym wyjątku, który ojciec Peter dla niego robił, ksiądz zapewne czekał już wewnątrz. Dziwne było tylko to, że zazwyczaj zostawiłby drugą zasłonę odsuniętą.

W zasadzie to nie miało znaczenia. Lucian chciał mieć to już z głowy, by uszczęśliwić matkę, tylko tyle. Przemierzył krótki dystans dzielący go od konfesjonału, chwycił zasłonę i pociągnął, by odciągnąć ją na bok.

Natychmiast zamarł tam, gdzie stał.